



Rękopisma pomniejsze, nadsyłane redakcyi Tygodnika, nie zwracają się.

№ 132.

Prenumerata w Warszawie
rocznie rs. 8, półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 6 lipca 1878 r.

Prenumerata
na prowincyi i w cesarstwie
kwartalnie rs. 3.

Tom VI.

Treść numeru. Władysław hr. Tarnowski (z 2 drzeworytami).—Działalność Akademii umiętności w Krakowie.—Skrypt Fleminga, powieść (dalszy ciąg).—Przegląd teatralny.—Kronika tygodniowa.—Na Tatarów!... (drzeworyt).—Wystawa powszechna w Paryżu (3 drzeworyty).—Przegląd polityki zagranicznej.—Przegląd piśmienniczy.—Przesady i tradycje ludowe u (chińczyków (dokończenie).—Moralny i polityczny charakter Szekspira (dalszy ciąg).—Wpływ światła na istoty żyjące (dalszy ciąg).—Szachy — I. ebus.—Gwoździak z grobu poety, powiastka studencka.

Władysław hr. Tarnowski.

Na początku maja r. b. nadeszła do Warszawy pierwsza wieść smutna o śmierci młodego jeszcze, a wysoko utalentowanego muzyka, poety i podróżnika, hr. Władysława Tarnowskiego. Wieść owa, przyjmowana zrazu z niedowierzaniem, wkrótce, niestety, znalazła urzędowe potwierdzenie, gdy konsul austriacki w San-Francisco zawiadomił rodzinę nieboszczyka, zamieszkałą na Wołyniu, że hr. Władysław, wracając do Europy z ostatniej swjej podróży po Indjach, Chinach i Japonii, zmarł w drodze na parowcu „Pacific,” dnia 19 kwietnia r. b., z przyczyny niewiadomej.

Strata-to rzeczywiście niemała nie tylko dla rodziny, ale dla kraju, któremu zmarły, pędząc życie gorączkowe w nieustannych prawie podróżach, nie mógł jeszcze dostatecznie dać poznać różnorodnego talentu swojego. Korzystając więc z uprzejmości czcigodnego J. I. Kraszewskiego, który przysłał nam racyl wizerunek hr. Władysława w stroju wschodnim, oraz widok Wróblewic, posiadłości jego w Galicyi, dajemy, obok drzeworytów z obu tych fotografii, króciutki rys życia zawczasie zmarłego pracownika na polu piśmiennictwa i sztuki, o ile na to pozwalają szczupłe bardzo materyały.

Władysław Tarnowski, wnuk Jana Feliksa z Dzikowa, a syn Waleryana i Ernestyny hrabiostwa Tarnowskich, urodził się r. 1841 we Wróblewicach, dziedzicznej majątności swjej rodziny. Młodzieniec, objawiający wczesnie niepospolitą zdolność do muzyki, kształcił się w tej sztuce najprzód w konserwatorium paryżkiem, a potem w Lipsku, pod Moschelesem i Lisztem, który w technice fortepianowej stawiał go niemal narówni z Rubinsteinem i Bülowem. Zetknięcie się bliższe

z Lisztem i Wagnerem wywarło podobno pewien wpływ na kierunek artystyczny młodego adepta sztuki, nie do tego jednak stopnia, aby stać się miał wyznawcą okrzyczanej w Niemczech „muzyki przyszłości.” Talent-to był zbyt samodzielny, ażeby uleść mógł naśladownictwu.

Jako kompozytor, napisał operę *Achmet*, z tekstem własnym, drukowaną w Lipsku, kilkanaście sonat na orkiestrę, oraz fantazyje na fortepian i pieśni. Uwertura jego i śpiewy do dramatu *Joanna Grey* wyszły w Wiedniu. We Wrocławiu, Lipsku i Lwowie wykonywano z wielkiem

powodzeniem kilka utworów orkiestrowych ś. p. Tarnowskiego.

Na polu piśmienniczym, oprócz pięknego dramatu *Joanna Grey*, wydrukował liczne poezye, pod pseudonimem Ernesta Buławy, oraz *Archiwum wróblewskie*. Z jego także zbiorów ogłoszone są we Lwowie „Listy pani Kossakowskiej kasztelanowej kamienieckiej do Ignacego Potockiego,” a zapowiedziane pozostałości rękopiśmienne po samym tym znakomitym mężu stanu. Niemalżej również wartości są listy Tarnowskiego z wędrowek jego po Włoszech i Wschodzie; w ostatnich bowiem latach zwiędził nieboszczyk Konstantynopol, Ateny, Kair, Teby, Balbek, Palmirę, Damaszek i pustynię, a w roku przeszłym odbył podróż do Indyj, Chin i Japonii, w powrocie z której właśnie śmierć niespodzianie go zaskoczyła. Szczęśliwym trafem jeden z listów, pisanych do rodziny z ostatniej jego podróży, znajduje się w naszych rękach; drukujemy go więc, aby czytelnikom naszym dać poznać gorącą duszę tego człowieka, który dziwnym jakimś blaskiem poetycznego uroku otaczać umiał wszystko, czegokolwiek się dotknął.

WYJĄTEK Z LISTU Z BOMBAJU.

24 grudnia, 1877 r. Dzień wigilii.

„Chcieliście mieć list z Bombaju; otóż macie nie tylko list, ale i wieści o mnie w dodatku; a najprzód życzenia pomyślności na rok nowy i następne!.. Co do mnie, przebyłem zdrow i cały cztery morza świata: Adryatyk spokojny, Śródziemne wzburzone wspaniale przez dni kilka — Czerwone rozpalone jak piekło — i cichy ocean Indyjski, spokojny w swjej bezbrzeżnej wielkości.

Dotąd wszystko pomyślnie! Trudy mną się strudziły; upały najgorsze zniosłem w puszczech Palmiry i Egiptu. Podróż zda mi się spacerem i gdyby nie



Ś. p. Władysław hrabia Tarnowski, w stroju wschodnim.

wzrok po za siebie i tęsknota za krajem, co czasem szarpnie serce zębami rekina, nie byłoby w niej ani chmurki.

Z Tryestu do Korfu morze było ciche, jak kółka śpiącej dzieci. Śródziemne zato, najgroźniejsze z mórz świata, rozlało się z całą grozą majestatyczną, która mnie zachwyciła!.. Trzy dni burzy przebyłem na pokładzie, gdy wszyscy chorowali i krzykali; przyznacie żem tęgi chłopiec, kuty na cztery nogi, jak mój Pegaz. Czwartego dnia, zacząwszy chorować, zacząłem się w płaszcz i zasnąłem, modląc się niewiele jak codzień, by Pan Bóg nie pomyślał, że się doń modłę ze strachu!.. W sześć dni do Aleksandryi, ztamtąd koleją do Suez, gdzie parę dni czekałem na statek.

Suez jest przesłizne dziecko pustyni; cały oprawny w ogrody palm i wierzb babilońskich, ujmujących w cudne kulisy bursztynowe piaski pustyni, do których przyległy śpiące szafiry Czerwonego morza, zataczające się w półkole harmonijnie i puszkami dyamentowym muskające swe brzegi. Puszek ten, ucałowany przez słońce, zmienia się w tęcz miliony.

Siedząc do północy nad morzem i dokazując z Arabami, dostałem gorączki dwudniowej, o sile 4-ch koni, jakiejby się w naszym klimacie nie zniosło. Zniecierpliwiony tym prologiem podróży, zerwałem się w paroksyzmie i zabiłem febrę, wsiadłszy na wielbłąda i zrobiwszy w trzy godziny puszcę jedną z najcudniejszych w życiu wycieczek do Źródeł Mojżesza (Rinn Musea). Jest to miejsce, kędy Mojżesz miał ze skały dobyć wodę dla Izraelitów. Źródło to jest dla wszystkich zagadką, z kąd się tu wzięło i jak wśród tych piasków istnieć może. Od wieków płacze tu po piaskach, a chociaż skały Mojżeszowe już zasypane, ono tętni życiem i ożywia całą oazę palm olbrzymich, których bukiet, jak szmaragd, z oddali zieleni się na bezbrzeżach pustyni. Kitami ich ogromnymi wień od morza przybyszący porusza na tłach gorejącego błękitu z dziwną, niewymowną gracyą, którą nazwałbym *tańcem natury*... Tę gracyą w naturze mógłby człowiek studyować w artyzmie swych tańców.

Jest tu domek Beduinów, którzy mnie kawa gościnnie przyjęli; gorączka jednak doszła tu do najwyższej siły i kiedy, w chwili słabości, rzuciwszy się na dywan, zawołałem: „Ana meslim!“ co znaczy po arabsku: „Nieszczęsny jestem“—po twarzy Beduina lży jak groch się stoczyły i powiedział mi, że jego dom jest moim domem, poczem przyniósł mi wody ze źródła Mojżesza. Po niej długi sen—i patrzcie, febra poszła i nie wróciła.

Przejechałem znowu puszcę z powrotem, a przepłynąwszy kanał lodzią, wróciłem do Suez; ztąd nazajutrz parowcem udałem się w dalszą drogę i w 15 dni w Bombaju stanąłem. Czerwone morze, które z każdego prawie okrętu porywa ofiary z powodu upału, było punktem kulminacyjnym niebezpieczeństwa; w razie powrotu gorączki byłbym zginął, jak mucha.

Widać jednak że mi jeszcze żyć przeznaczono, bo była dość dyskretną, by nie stanąć na pokładzie. Pierwsze dwa dni były wistocie trudne: zdało mi się z gorąca, że wszystko we mnie zamięra, że wędnę, usypiając. Trzeciego dnia powiał wiatr, rzadki gość, od oceanu i pustyni; wszystko ożyło, a czwartego dnia pokazywałem już Angielkom na pokładzie, jak się wywija polskiego hołubca. Przytém jedna z nich tak zaczęła manewrować swoim wachlarzem, że uznałem za stosowne dostać morskiej choroby i zamknąć się na dobę w mój kabinie, na czem studya moje przygotowawcze co do Indyj wzmęły wymiennie... Sześć dni i nocy Czerwonym morzem, między wybrzeżami Persyi i Arabią Felix, przebyłem więc szczęśliwie. Ujrzałem z zachwytem, jakiego każdemu żyć choć raz w życiu, górę *Sinai*, królową puszczy i mórz, z koroną w błękitach, jaśniejącą wspomnieniami wieków, niemo a wymownie głoszącą imię Jehowy, co wiedzie narody... Mały przystanek w mieście Aden, gdzie pierwszy raz byłem otoczony praw-

dziwie dzikimi ludźmi, w strusich piórach, potem 9 dni oceanu—a żegluga skończona.

Ocean jest najpiękniejszym dziełem Stwórcy w naturze. Cichy, bezbrzeżny, błękitny, chwilami jak lew spieniony, pełen znowu spokoju, jak *mędrzec w zadumie*. Fala jego długa, spiętrzona w wspaniale, niesie okręt, jak grzywa rumaka, w słońcu tęczący... Noce mieliśmy przepyszne księżycowe; wień ciągly, chłodzący powietrze; pokład był oświetlony, płynącym salonem, w którym, w blaskach księżycy, ślicznie grupowało się towarzystwo pań w lekkich tunikach, Arabów i Persów w barwnych szatach, Indyan o malinowym turbanie i Turków o płonącym fezie, wreszcie Europejczyków rozmaitych. W tych blaskach miesiąca fala morska była jak jedna szyba perłowej masy. Niebo, jaśniejące gwiazdami, nie blademi, jak na północy, ale całe gwiazdolate, jak iskrami zasiane... W takich nocach musiała się znaleźć i pieśń, i gitara, i chór majtków, i nie jeden sopran lub tenor, a nawet raz, w noc jasną, wywindowano pianino na pokład i wyobraźcie sobie, że na niem dwie godziny improwizowałem, płynąc w blaskach świetlanych w nieskończoność; ale myśl moja ku wam zwróciła się w tych chwilach i szła po falach morza, w stronę rodzinna!..

Tak zwolna płynąc Kolumbowemi szlaki, witając ptaki latające i kawały drzewa, czuliśmy bizkość ziemi. Wreszcie, o wschodzie słońca, zawołano: *ład! ład!* i Indye, upowite w różane zorze, z lasami palm i pomarańcz, wyłoniły się z błękitów morza, jak motyl stubarwny... Port Bombaju, olbrzymich rozmiarów, piękny swemi wyspy i skałami, nie odpowiedział jednak, równie jak sam Bombaj, moim oczekiwaniom. Przesądnie porównano go z Neapolem, do którego się nie umyła... bo Neapol *szpeci* Wezuwiusz, którego tu niema—tak jak na przykład kuzynkę P... *szpeci* pewien wdzięk wrodzony, i to *je ne sais quoi*, do którego inne się nie umyły, jak Bombaj do Neapolu. Przepraszam kuzynkę za to zuchwale porównanie; na moję obronę powiem: „si non e ben trovato, e vero.“

W szalony upał porwało mnie na łódź indyjską czterech dzikich, o brązowych ciałach muskularnych, szamocących się rytmicznymi wiosłami z morzem, tak że łódź strzałą przelatywała przestrzenie. Dowódca ich wołał ciągle: „*Czwadzi! czwadzi!*“ to jest: *naprzód!* i rad jestem, że to jest pierwsze słowo, jakiego po indyjsku się nauczyłem. Dwukołowy powozik powiózł mnie pędem, wśród namiotów palm i czarnych ludzi, tak iż na chwilę zdało mi się, że zapadł na chorobę Tysiąca nocy i jednej!

Stanąłem w hotelu Esplanade, olbrzymim apokaliptycznym straszidłem czteropiętrowym. Gmach ten, cały z żelaza, mieści 2,000 osób, godny miasta Bombaju, którego ludność podobno już przechodzi 800,000. Taniść mnie tu zadziwiła: za 5 rupij (rupia indyjska—dwom frankom) dziennie mam piękny pokój na morze i trzy pożywienia na dzień tak obfite, że połowie rady dać niepodobna; w dodatku usługę, światło i codzienną zimną kąpiel, bez której tu żyć nie można.

Co dnia odbywam wycieczki; zabytków jednak staroindyjskich tu niewiele, angielskie zaś, nowe, mniej niż nieciekawe. Rzeczą przepyszną jest ogród botaniczny, w którym z rozkoszą okabujają rośliny wszelkich stref tropikalnych, z całym przepychem natury.

Wczoraj odbyłem łodzią jedną z wycieczek pamiętnych mi na całe życie—na wyspę Elefantę, której groty, kute ludzką ręką, są największym pomnikiem sztuki staroindyjskiej, a natura, z drzewa i kwiatów, ptaków i motyli barw najrozkoszniejszych złożona, jest rajem ziemskim. Takiego śpiewu ptaków nigdzie nie słyszałem. Oto listek z kwiatka na pamiątkę.

Groty Elefanty, na cały świat sławne, są dziełem wielkiego artystycznego znaczenia i godnie postawiłbym je w środku, między sfinksami Egiptu, a lwami Mycen w Grecyi, z pelazgijskiej epoki... Wyrazem ducha jedne ni drugie im nie zrównają, a znam jedne i drugie. Mitologie indyjska, tak jak inne mitologie, dziwnie licują z naszą biblią tém, że mają swą trójcę, czyli

Trimurti. I tak: *Brahma*, Bóg stworzyciel; *Wisnu*, syn jego, który zszedł na świat i wrócił do nieba; wreszcie *Sziwa*, który po wiekach przyjdzie świat cały zburzyć. Sziwie światoburecy i jego żonie poświęcone są groty Elefanty; wieńczą je jednak i inne bóstwa. Wyraz twarzy *Trimurti* jest niezmiernego znaczenia na swe czasy, wyraz Sziwy tak pełen grozy i życia, że one mnie nawskróś z tych ruin przebudły... że się w nocy zrywałem z przerażenia.

List, wczoraj przerwany, z powodu pasterki, na którą poszedłem o północy, dziś kończę. Odbyła się w katedrze. Nic rzewniejszego i wspanialszego. Chór Indyan-chrześcian śpiewem towarzyszył. Słyszałem Ojciec nasz po indyjsku, przez Indyanina skomponowane. Potężne wrażenie sprawiał widok tych czarnych ludzi, siedzących na ziemi, wkoło celebrującego biskupa; wielkie to dzieło naszych misjonarzy!.. Kościół przedstawiał widok nie z tego świata. Kazanie angielskie było przesłiznie wypowiedziane.

U arcybiskupa będę z wizytą pojutrze, z jednym Portugalczykiem. Z pasterki do domu idąc o 1-szej w nocy, zbłądziłem; powozów już nie było. Spotkałem dwóch Indyan, którzy mogli mi najwygodniej zabić w ciemnym zaułku; najpocziwiej jednak zaprowadzili mnie aż do domu i ślubowałem miłość ich narodowi.

Mam listy polecające do możnych Indyan, od mego dobrego przyjaciela, profesora Gubernatis z Florencyi. Przyszedł do mnie arcykapłan Parsów, w mitrze, białe ubrany, w szalu pasowym z kaszmiru i z asystencyą, oddał mi ogromny bukiet i prosił by mu zagrać. Uczyniłem to na nieszczęśliwym fortepianie hotelowym; zbiegło się do sali ze 60 osób i był taki grzmot oklasków, że uciekłem. Sercem i pamięci waszej się zlecam.

Dalszy plan drogi: jutro do Goonah na górach, dla powietrza, które tam zupełnie europejskie; dalej do Madrasu, na wyspę Ceylon i powrót do Bombaju. Ztąd do Agry, Delhy, Simla, w Himalaji, do Benares i Kalkuty; ztamtąd, zapewne przez Chiny, Japonię i Amerykę morzem do Neapolu, gdzie mam nadzieję stanąć w czerwcu i miesiąc odpocząć w ulubionym moim hotelu Washington.“

Oto próbka czém był i czém mógł być jeszcze w przyszłości ten człowiek, zgasły w sile wieku, z ogromnym zasobem energii i talentu, człowiek, o którym słusznie powiedział Kraszewski:

„Potęga młodzieńcza stanowi cechę i poezji, i muzykalnych kreacyj autora. Świetność, barwne, szerokie i silne, tak że często pragnęłoby się więcej wlać spokoju w te rozkołysane fale... Całą duszą artysta, Tarnowski, można powi edzić, żył tylko w świecie poezji i muzyki, w świecie ideałów, snów i marzeń.“

Niestety! ideałów tych nie urzeczywistniło życie, a sny i marzenia zawczesna pogrzebała mogiła...

SPROSTOWANIE.

W ostatnim numerze Tygodnika, pod rysunkiem Matejki, wydrukowano mylnie: *Z wizerunku pułkownika Łukasza Dąbrowskiego*, zamiast: *Łukasza Dobrzańskiego*.

KORESPONDENCYA OD REDAKCYI.

Panu Janowi L. w Pradze czeskiej. Pisząc o „Źródłach Wisły“ i o „Wodach mineralnych w Jastrzębiu“, a wymieniając w obu tych artykułach, szczególnież zaś w drugim, niektóre idiotyzmy narzecza Szlązaków, przyswojone początki z języka czeskiego—nie mieliśmy bynajmniej zamiaru „*anektować*“ (jak szanowny pan się wyrażasz) pobratymczą nam mowę czeskiej na korzyść polskiej. Powiedzieliśmy poprostu, że lud okoliczny mówi po polsku, „używając jednak pewnych odrębnych wyrażeń“, i te zanotowaliśmy, „ku pożytkowi badaczy“. Że połowa tych wyrażeń pochodzi z czeskiego, to rzecz zupełnie naturalna, bo wszędzie na pograniczach języki się zlewają i wzajemnie zapożyczają. Niemniej jednak skrzętnie zapisywanie podobnych naleciałości wiele jest pożądanego dla filologów, jako materiału, i to też tylko, a nie żaden zamach na narodowość czeską, mieliśmy na myśli, kręśiąc pobieżnie te wzmianki, dalekie od wszelkiej pretensyi do ścisłości naukowej.